Rozmaitości

Dnia 19. Marca Nr 12. 1836 Roku.

BRANSOLETKA Z PEREL.

I.

ARTYSTA.

Byłoto w Wenecyi, podczas rozkosznéj włoskiéj nocy. Po kanałach ślizgało się tysiące gondoł; tłum ludu stojący na brzegach każdą razą klaskał w ręce, ilekroć przy mdławym blasku pochodni ujrzał jaką młodą, piękną kobiétę, siedzącą w przepysznéj gondoli z głową nachyloną, dumającą o słodkich harmonijach, rozlegających się po kanałach.

Zamaskowany mężczyzna zbliżył się do barki, przymocowanéj w blizkości pałacu San Medino: »Na plac S. Marka!« rzekł do przewoźnika, sadowiąc się w głębi łodzi. I łódź zapruła wodę, zmieszała się z innémi gondołami, i wnet prześcignęła wszystkie, dzięki zręczności wioślarza. Gdy już tak dostatecznie odbiegła naprzód, że inne łodzie, płynące za nią, straciły ją z oczu, skręciwszy kilka razy to ku téj, to ku owéj stronie kanału, zatrzymała się nagle przy placu Sgo Marka.

Nieznajomy, unikając spojrzeń gminu, szybkiemi kroki przebiegł *Piazettę*, i wsunął się do domku dość lichéj powierzchowności, położonego na wzniosłém miejscu, wprost pałacu doży. Młoda dziewczyna, bez wątpienia oczekująca go w progu, wskazała mu izbę na wyższém piętrze. »Juanito!« zawołał rzucając się na széroką sofę, i zdejmując maskę, »wprowadzisz tu mężczyznę, na którego czekam.« Dziewczyna wyszła. Nieznajomy, zostawszy sam, przystąpił do źwierciadła, i poprawiał ubior swój, który był prosty i skromny. Rysy jego z wyrazem melancholijnego smętu, tchnęły szczérotą i czystością. Szlachetne oblicze, a przytém jakiś pozór dziki, nieokreślony, nadawał spojrzeniom jego wyraz głębokiego zadumania; z czoła jego można czytać jenijusz, a z ogółu rysów dumającą i namiętną duszę. Mężczyzna ten chwilkę zdał się przysłuchiwać, potém na plac zalany ludem rzucił wzrok obojętności wzgardliwéj, i jakby nagłą porwany myślą, z zanadrza kaftana dobył sztyletu, którego głównię z upodobaniem wyginał na marmurowym kominku, aż nakoniec, jakby znudzony, rozciągnął się wygodnie na wezgłowiu sofy.

»Och!« jęknął głosem wzruszonym; »życie artysty! to mi szczęście. Swiat, ojczyzną; chwała, przyszłością! żyć, żyć, i umrzéć znędzniałym i ubogim, marzyć o nieśmiertelności na barłogu, a z głodu ginąć obok arcydzieła! potém szalenie roztrwonić żywot nietroskliwy, lekki; kwitować potomność rozkoszą dnia każdego; dzisiaj zapomnieć siebie na hulance, a jutro życiem natchnąć płótno, lub unieśmiertelnić bryłę marmuru! Lecz miłość twardy wierzyciel, zniweczy w twéj duszy potężny płomień jenijuszu, porzuci nagiego i czczego na łonie kobiéty, która cię zdradzi... śmiejąc się! — O! miłości, ty jesteś trucizną, co zabijesz pomysł sztuk-mistrza, a kruszysz chwałę, któraby mógł uwieńczyć swój byt człowieczy!... z tém wszystkiém, nie kochać, czyżto się życiem nazywa?«

Odgłos stąpań na wschodach oznajmił przybycie osoby, którą oczekiwał młodzieniec, i przerwał mu ten dziwaczny monolog.

Juanita wprowadziła nieznajomego, i odeszła. Nie zrzucając płaszcza, nawet nie zdejmując maski, nieznajomy rzucił się w ramiona młodzieńca. — Byłato kobiéta.

»Antonio! miłości moja!« rzekła siadając koło niego, i składając maskę. Ale głęboka oziębłość, którą wyczytała z rysów kochanka,

ścięła mrozem w ustach młodéj kobiéty owe ogniste wyrazy, jakie jéj namiętność w duchu szeptała. Młodzieniec, nie zdając się nawet uważać pomieszania sprawionego na Włoszce swojém oziębłém przyjęciem, z głową opartą na wezgłowiu sofy, zawołał:

»Siniora! trzeba o wszystkiém zapomnieć, przytłumić aż do wspomnienia namiętność, któréj odtąd podzielać nie mogę.«

»Boże mój!« rzekła młoda kobiéta, upadając pod twardémi słowy na sofę; »Antonio! cóżem przewiniła, że mię takim ciosem uderzasz?«

»O tyś niewinna!« odrzekł, »lecz... nie powinniśmy się więcéj widywać.« I po tych słowach, tchnących najwzgardliwszą ironią, młodzieniec powiódł wzrokiem zimnym, pochmurnym na skazówkę alabastrowego zégaru, i przynucając nową *barkarolę*, obrywał do ostatka liść po liściu z róży, którą trzymał w ręku. — Włoszka zalewała się łzami.

»Och nie!« mówiła czołgając się na kolanach aż do nóg Antonia; »nie, ty nie możesz mną tak pogardzać... mną, kochającą ciebie, poświęcającą wszystko dla téj miłości, któréj upojenia dzieliłeś. Antonio! panie mój, nie możesz mię nienawidzić... byłobyto nikczemnie, niesłychanie;... wzgarda za tyle poświęceń! twarde wyrazy, zimne spojrzenia za namiętność głęboką!... Co! ani słówka litości? do obrazy, do wzgardy łączyć obelgę milczenia! och umrę!« krzyknęła padając tuż przy jego nogach.

Młodzieniec podniósł ją, i ocucał trzeźwiącémi woniami, lecz nie przychodziła do zmysłów; w ostatnim ratunku rozciął sztyletem wstążkę, ściskającą kibić Włoszki. Widok téj kobiéty w omdleniu, z włosem hebanowym, rozwianym pierścieniami po białych ramionach, który jak zasłona zasuwał jéj twarz białą, bladą; tyle rzadkich powabów przystępnych oku, zmieszały do szczętu młodzieńca: żal mu się zrobiło, że jéj taką wyrządził wzgardę, na ustach Włoszki wycisnął pocałowanie długie, ogniste... i przyszła do siebie.

»Emilio!« zawołał na klęczkach, »kocham cię, przebacz!« Oczy młodéj kobiéty rzucały łyskawicę; nieład w stroju spędził jéj wszystką krew do twarzy.

»Och! och!« mówiła, »toż szlachetnie! toż wzniośle! nogą odepchnąć kobiétę zdolną do tyla miłości; czekać pokąd boleść gwałtowna, przebrana, nie rzuci ją konającą, aby znowu czołgać się i płaszczyć przed nią. Mości panie! toż szlachetnie! toż godnie!«

»Emilio!« przerwał młodzieniec, ujmując Włoszkę za rękę, musiałem lub stracić twą miłość, lub się przed tobą unižyć.«

Włoszka nagle zerwała się z miejsca, i odskoczyła o kilka kroków: »Nieszczęsna!« zawołała, »nie zdeptałażem honoru kobiéty, nie wyrzekłażem się w dwudziestym roku cnotliwego imienia małżonki, aby nie zasłużyć nawet na twoje zaufanie! jakże mało kochasz mię zapewnie, kiedy nawet swego stanu wymienić się obawiasz!« I zakrywała sobie czoło dłonią, zwilżoną od łez gorących.

»Przyznaj Emilio!« przerwał młodzieniec tonem godności szlachetnéj, surowéj; »ten, kto miłością wzniósł się do ciebie, mógłżeby!... Nie, siniora; młody jestem, a prace moje dopiéro się wykończą, gdy namiętność zgubna przestanie w duszy artysty zabijać pomysły, których pod wpływem uroku, wiążącego mię do ciebie, na próżno od jenijuszu wymagam, i nigdy.....«

Włoszka włożyła maskę i płaszcz, pokrywający jéj płeć niewieścią, na młodzieńca rzuciła wzrok piorunujący. »Dobrze Antonio! więcéj nie powinniśmy się widzieć!« zawołała zwracając wzrok ku wschodom.

Jedna bransoletka Emilii została przecież na sofie; zrozumiał to Antonio, i ostatnie wyrazy Włoszki inaczéj sobie wykładał.

II.

SCHADZKA.

Pyszna biesiada, zaręczam. Nie angielskato biesiada, ponura, grubiańska, zalana porterem przy śpiewie: *God save the king.* Mniéj jeszcze blada, niepewna biesiada francuzka, nie umiejąca się upić, w uniesieniach rzucająca się na niezlany winem kobierzec. Ani to biesiada hiszpańska z lubieżném *bolero*, z sztyletem, topiącym się w piersiach w cieniu, bez jęku. Nie. Byłato zwyczajnie pyszna wenecka biesiada, przy trąb odgłosie, przy pochodniach jarzących, szalona, huczna biesiada, nie dbająca o jutro, wolna, uszczypliwa w słowach w obecności *bravo* rady dziesięciu, śród pieśni miłośnych, słyszanych aż do *mostu westchnień*.

Słuchajcie. W obszérnéj purpurowéj sali, ozdobionéj w arcydzieła mistrzów szkoły weneckiéj, około zbytkownie zastawnego stołu,

dwadzieścia osób siedzących, a raczéj leżących na obłęcznym dywanie, oddawało się téj miekkiéj i łatwéj radości, która opanowuje zmysły w chwili, kiedy przy lekkiém rozmarzeniu winem, porówna się współbiesiadnicze grono, i różnica dostojeństw zniknie.

»Hrabia Leoni!« rzekł jeden z biesiadujących, wskazując temu, który się zdawał być gospodarzem pałacu, na jeden obraz galeryi; »oto Madona godna Rafała, jaki doża pokryłby ją cekinami.«

Hrabia odpowiedział kilka wyrazów po cichu, i naznaczył spojrzeniem młodzieńca, siedzącego przy końcu stołu. To był Antonio.

Czyto gorączka rozkoszy napełniła w téj chwili serce artysty, czy upojenie przemogło nad tęgością gorącéj wyobraźni, i sprawiło zawrót w duszy namiętnej, że Antonio w takiém szczęściu na raz się uczuł, o jakiém dotąd nie wiedział; rysy jego, zimne z przyrodzenia, ożywiały się stopniowo, oczy śkliły nadzwyczajnym blaskiem. Rzucał ucinkowe i satyryczne przymówki między współbiesiadników, gdzie tylko on jeden nié miał sobie równego; wszyscy słuchali go z uwagą; jenijusz stał się człowiekiem.

Lecz skoro przeszła gorączka téj radości, szału i zmyślenia, gdy trzeźwość zaczęła rozpędzać pomysły niezgodne, splątane, uczuł czczość tego stanu, i gwałtem chciał zrzucić nieznośną siłę cieżącą mu na mózgu.

»Obrzydłe pijaństwo!« zawołał piorunującym głosem, rzucając daleko puhar od siebie. »Dziś wieczorem mam schadzkę na *Rialto*, może w téj chwili czeka na mnie gondoła. Żegnam was przyjaciele!«

»Samochwalco!« ozwał się któryś z młodzieży, śród śmiéchu, »pewnie jaka dziewczyna z *Piacetty*?«

»Księżna!« zawołał Antonio, »i oto talizman, który mi za przewodnika posłuży;« tu wyciągnął z zanadrza bransoletkę perłową z zapięciem złotém, i wychodząc pokazał ją współbiesiadnikom.

Lecz jeden z nich porwał się gwałtownie od stołu, przyskoczył do młodzieńca, i wciągnął go na powrót do sali. Byłto książę San-Medino, który poznał bransoletkę swéj żony.

»Emilia?... kłamiesz bezczelny!« wrzasnął książę z twarzą pobladłą od gniewu i podziwu; przez Sgo Marka, kłamiesz!«

»Och, mości książę,« odrzekł artysta, chwiejąc się na nogach, »zazdrościsz mi zdobyczy mojéj? jeźli chcesz, ustąpię ją tobie,« i podał mu obojętnie bransoletkę; »wreszcie i tak miałato być ostatnia nasza schadzka.«

»Na *Rialto*?«

»Dom Sancha Condotieri.«

»Odpowiész mi życiem swojém Antonio!«

Malarz upadł ociężały na sofę, mało zważając na oddalenie się księcia; znowu zajął miejsce śród biesiadników, znowu pił, dowcipował, szalał, a zdarzenie to bawiło wszystkich do dnia białego.

Nazajutrz dowiedział się Antonio, że książę San-Medino zamordowany został na *Rialto*, przy miłosnéj schadzce. Bransoletka księżnéj znalazła się w gondoli. Emilia zemściła się tylko, że miasto śmierci małżonka swego, zapłaciła za śmierć sławnego malarza Antoni Allegri dà Correggio. L. S.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

II.

SPOSOBY SPRZEDAŻY.

(Dokończenie.)

Rozmaite tkaniny bawełniane i sukna zapowiadają się publiczności w rozwiniętych od drugiego, czasem od trzeciego piętra na sam dół spadających sztukach i postawach. Droższe tkaniny, jedwabie i szale, zbyt kosztowne, iżby wystawiane być mogły na zmiany powietrza, rozwieszane są w głębi sklepu przed oknami, tak zręcznie, tak gustownie, że za jednym rzutem oka, nie wchodząc do sklepu, widzisz całą ich piękność, wielkość i wszystkie ich desenie. W tym samym sposobie, z tą samą okazałością, wystawione są w oknach diamenty prawdziwe i fałszywe, i inne drogie kamienie, oprawne w najrozmaitsze kształty; klejnoty złote i z kompozycyj metalowych, pióra i inne ubiory damskie, stare monety złote i srébrne u wexlarzy; słowem, wszystkie przedmioty handlu i przemysłu. Wystawa w naturze stała się tak dalece potrzebą sklepów paryzkich, że nawet handlujący drobiem wystawiają przed sklepami swémi w porządnych ogródkach, lub ozdobnych klatkach nad sklepami, kury, koguty, kaczki, gołębie i inne rodzaje domowego ptactwa.

Rozumie się, że nie wszystkie wystawy jednego rodzaju towaru są jednakowe; zależą one od zamożności i gustu kupca. Ale każdy, czy bogaty, czy ubogi, musi mieć wystawę, z niéj można wiedzieć, co się znajduje w sklepie. Częstokroć zdarza się, że tylko to w handlu, co jest wystawione.

Zajmujący jest we dnie widok wystawności sklepów paryzkich; ale dopiéro wieczorem, kiedy je gaz oświeca, jest on prawdziwie czarujący. Szczególniéj kawiarnie i sklepy z cukierkami wydają się wtenczas jak jakie świątynie w dniach najuroczystszych; tak przynajmniéj wyobrażać je sobie trzeba, ażeby je z czémś porównać. Ale tu porównanie takie byłoby najniewłaściwsze. Podczas kiedy prawdziwe świątynie, z ozdób dawniéjszych najczęściéj obdarte, nieporządnie utrzymane, w czasie nabożeństw wieczornych podobne do ciemnych piwnic, nędznémi stołkami, ze słomy plecionéj, za które jeszcze płacić trzeba, napełnione; nic wewnątrz nie posiadają, coby odpowiadało wielkości ich budowy i przeznaczenia — tymczasem kawiarnie goreją wieczorem ćmiącém wzrok światłem, mają wyzłacane pułapy i kolumny, źwierciadlane ściany, aksamitne siedzenia i pod srébrem uginiające się bufety. Przepych taki, w porównaniu z ubóstwem miejsc, poświęconych religii, albo lokalów, poświęconych naukom, gdzie nie raz np: w szkole lekarskiéj przy sekcyjach wieczornych, jedna lub para świéczek przebija ciemność i objawia brudne ściany, w kawiarniach jeszcze ma jakieś odpowiednie znaczenie; tam bowiem schodzą się ludzie, nie tylko dla jedzenia i picia, ale i dla czytania dzienników, a zatrudnienie to nastręcza naturalnie uwagi i rozmyślania. Kawiarnie w Paryżu są z powodu dzienników, niejako polityczną instytucyją, którą zaprowadziły zwyczaje narodu. Ale przechodząc obok konfiterni, gdzie na kryształach i pod kryształami, jak gdyby na oświeconéj dłoni, widać z ulicy tysiące starannie ułożonych grup cukierków, gdzie się wchodzi, jak np: u *Terriego*, między dwa od dołu do góry wyzłacane drzewa palmowe, które stanowią zarazem jedyną podporę przodu sklepu; gdzie, np: jak w *Palais royal*, oprócz dołu, dwa okazałe piętra poświęcone są cukierkom, gdzie sztuczne maszyneryje zamieniają ściany, z najpiękniéjszémi obiciami, na szafy z bonbonkami, i wzajemnie; przechodząc, mówię, obok takich sklepów, nie wiedzieć, czemu się dziwić, czy przepychowi okazałemu, czy kupcom, którzy w tak błahy towar odważają się wkładać tyle starań i tyle kapitałów, czy publiczności, która zdaje się składać z samych dzieci, kiedy takim drobnostkom może nadawać niesłychaną ważność handlową.

Wielkie, z pięknego szkła szyby, zdawały się jednemu krawcowi jeszcze za mało odpowiednie bogatym materyjom, które miał do sprzedania. Jeszcze promienie wzroku przechodzących musiały się łamać o wązkie pręciki mosiężne łączące szyby, a drogie hafty i złociste towary, nie mogły być uwielbiane bez żadnéj, jakokolwiek nic nie znaczącéj przerwy. Wymyślił on sposób przeciw téj niedogodności, i zastąpił dawne okna, czyli raczéj dawną ścianę szyb, jedną ogromną sztuką szkła najczystszego. Nowość ta obudziła zazdrość innych sklepów, i odtąd nie ma prawie rodzaju handlu, w którymby zmiany téj nie zaprowadzano. Nie tylko piérwsze kawiarnie i restauracyje, ale nawet *charcutiers*, t. j: sprzedający rozmaite wieprzowiny, ubiegają się, aby jak najprędzéj powyrzucać szyby, które wydałyby się dobrze w pięknych salonach, i zastąpić je bogatémi taflami szklannémi, 8 stóp wysokości, a 4 szérokości mającémi.

Wystawność stała się potrzebą tak kupców, jak publiczności, i wyraża najlepiéj nie tylko zapamiętałego ducha spekulacyjnego, ale i niepohamowaną żądzę używania. Wszakże nie rozciąga się ona do wszystkich ulic Paryża. Tylko *Palais royal*, *passaże*, *bulwary* i kilkadziesiąt główniéjszych ulic odznaczają się pod tym względem. Na innych ulicach ubożsi kupcy i mieszkańcy, poprzestają na skromnych wystawach, kupują i sprzedają po dawnemu.

Wszystkie sklepy jednego rodzaju, lubo różniące się pod względem zamożności, urządzone są na sposób jednakowy. Zwyczaj, na doświadczeniu oparty, zaprowadził w téj mierze pewien kodex, przeciw któremu żaden kupiec bezkarnie postępować nie może. Ta bowiem jednostajność sprawia, iż formy zewnętrzne, po których rozpoznawać można jeden rodzaj sklepów od drugiego, wszystkim mieszkańcom od razu wpadają w oczy. Zwyczaj, także i poźniéj urządzania policyjne, porozdzielały ściśle rodzaje zarobków i towarów

po między rozmaitego rodzaju kupców i kramarzy. Ta wyłączność rozciąga się w handlu księgarskim do rozmaitych przedmiotów dzieł. Większa część księgarni sprzedaje wprawdzie wszelkie dzieła, ale są i takie, które tylko jednego rodzaju książkami handlują. Sposób taki ułatwia, w mieście zwłaszcza wielkiém, nabywanie towaru, i przyczynia się często więcéj do odbytu, niż najszumniéjsza wystawa. W częściach starego Paryża niektóre ulice zajęte są wyłącznie przez kupców jednego rodzaju, i tak: są ulice, na których sami księgarze; inne, gdzie sami zegarmistrze; inne, gdzie fabrykańci narzędzi optycznych i astronomicznych; inne, gdzie sami złotnicy sklepy mają i towary swoje rozkładają.

Żaden kupiec i handlujący w Paryżu nie obejdzie się bez *biletów adresowych*, na których ozdobnie wydrukowane, lub wylitografowane są jego nazwiska, przedmiot jego handlu, ulica i numer sklepu. Rozpoczynając handel rozdaje je swoim znajomym do rozdania, rozsyła je po miejscach najwięcéj uczęszczanych, a zawsze zaopatruje niemi po raz piérwszy do niego przychodzących. To samo czynią nauczyciele prywatni języków i sztuk pięknych, niektórzy lekarze, i w ogólności wszystkie przemysłowe zakłady. Są co w ludniéjszych punktach miasta stawiają najętych ludzi, lub służących z paczkami biletów adresowych, dla rozdawania ich wszystkim bez wyjątku przechodzącym. Niekiedy na biletach tych wyrażone są ceny i pochwały towarów.

Ażeby dać rękojmię rzetelności kupieckiéj, zwłaszcza tym, którzy się na towarach i cenach nie znają, zaprowadzono w wielu sklepach zwyczaj umieszczania przy towarze na karteczce wielką liczbę ceny stałéj, *prix fixe*. Rzecz bardzo dogodna dla kupujących, bo uwalnia od targowania się i uwalniałaby od przepłacenia, gdyby sprzedający obejmowali w cenie stałéj zawsze tylko zysk pomiarkowany. Ale się zdarza, że ceny stałe wyższe kładą, niż towarów w innych sklepach po cenie niestałéj dostać można. Pomimo tego zwyczaj ten dla obu stron musi być dogodny, kiedy się utrzymuje, chociaż możnaby przeciw niemu powiedzieć, że nie jest sprawiedliwy, bo ceny każdego towaru nie zawsze są jednakowe i sam towar z czasem, i według większéj lub mniejszéj potrzeby, musi wartość swą zmieniać. Jakoż dla téj przyczyny o cenę stałą można się targować, i często otrzymać na niéj zmniejszenie. Korzystając z powabu, jaki ma *prix fixe* dla kupujących, niektórzy kramarze sprzedają najrozmaitsze drobiazgi, mniéj więcéj równą mające wartość, po jednéj stałéj cenie. I tak są sklepiki ruchome, które jeden człowiek przewozi z ulicy na ulicę, ogłąszając, że każdy artykuł jego towaru jest do nabycia np: za 2 sous (5 gr. pol.); inne sprzedają wszystko po 13 s., po 25 s., a czasem nawet po większéj cenie stałéj, tak wyłącznie, że w podobnym sklepie nie ma ani jednego artykułu, którego cena byłaby wyższa od oznaczonego *prix fixe*.

Jednostajne ubiory, czyli mundury, używane są także za środek zwracania uwagi na rozmaite przedsiębierstwa i handle. W takiém mnóstwie współubiegających każdy chce się odznaczyć, ażeby do niego łatwiéj trafiono; każdy się boi, żeby nie udano się gdzie indziéj zamiast do niego. I tak, wszyscy konduktorowie omnibusów i dyliżansów mają rozmaite mundury, po których łatwo rozeznać można do któréj administracyi należą, którą linię powozy ich przebiegają. Mężczyzni i kobiety, używani do sprzedawania papiéru fabryki Weynen w wielu punktach miasta, mają kurtki granatowe, czerwone spodnie, lub spodnice, kapelusze ze skóry palonéj z napisem: *Weynen.* Nie dawno zaprowadzona fabryka pobielania naczyń miedzianych, wysyła w rozmaite części miasta po naczynia wózek kryty, ciągniony przez człowieka, który ma bluzę czerwoną, kask pobielany i ogromną trąbę, którą oznajmia swój przejazd.

Krzyki grają w drobniéjszym handlu paryzkim wielką i oryginalną rolę. Jestto zwyczajny środek, szczególniéj przekupniów i przekupek, którzy bądź wózkami, bądź w koszach, rozprowadzają po ulicach Paryża rozmaite jarzyny, artykuły żywności i drobniéjsze towary tkane. Śród turkotu powozów i gwaru muszą krzyczéć ze wszystkich sił, żeby się dali słyszeć. Dla nieprzyzwyczajonego ucha krzyki te są często bardzo przykre, z powodu machinalnéj jednostajności, któréj nabywają przez kilkonastoletnie powtórzenie jednego wyrazu. Głos ludzki, z natury swojéj giętki, rozmaity, charakterystyczny, zamienia się w gardle powtarzających zawsze

jedno i to samo, w głos, jakby zwierzęcy, nienaturalny, mechaniczny, a jeżeli jeszcze jest fałszywy, albo nadwerężony wiekiem, jednostajność ta staje się wtenczas dla słuchu nieznośna. Wynagradzają te niemiłe wrażenia głosy, niekiedy czyste i bawiące słuch pewną melodyją.

W ostatnich czasach zjawiła się w księgarstwie nowa spekulacyja, której wypadek jeszcze niewiadomy. Stowarzyszenie księgarzy złożyło kilkadziesiąt tysięcy franków, i przeznaczyło tę sumę na *loteryję*, w której każdy może mieć udział, kto u nich kupi książkę jaką wartości 5 frank. Spodziéwają się tym sposobem zwabić mnóstwo kupujących, i nie tylko pokryć ofiarowaną na loteryję sumę, ale także poprzéć handel, który przez ogłaszanie pism dwu-suowych znaczną poniósł klęskę.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o *kumach, compères*, jak ich Francuzi nazywają, którzy publicznie na ulicach handle swoje odbywają. Zwykle jest ich dwóch: jeden z małym kramikiem, który sprzedaje; drugi, porządnie ubrany, niby kupujący. Ostatni, targując się, podaje zawsze większą nad wartość towaru cenę, i to głośno, aby go przechodzący słyszeli; jeżli w ciągu tego targu kto nieznający Paryża przy nich się zatrzymuje, niby kupujący dobija kupna i płaci umówioną cenę, co widząc obcy człowiek, często daje się złudzić, i już nie targując się, płaci co tamten zapłacił.

Innym sposobem, ale równie podstępnie, chwytają przechodzących trudniący się wywabianiem plam na sukniach. Dają oni pokój Paryżanom i osobom, z których powierzchowności mogą sądzić, że z niemi spekulacyja ich mogłaby się nie powieść. Ale jak tylko który z nich spostrzega parafijanina, lub wieśniaka, ubranego w miejską suknię, natychmiast przybliża się do niego z kamieniem czyszczącym, i nieproszony zaczyna na nim smarować kołniérz lub inną część sukni. Przechodzący, najczęściej zamyślony o swoich interesach, widzi nagle usłużnego, który go zapewnia, że na sukni ma plamy, i że je natychmiast wyczyści; zatrzymuje się więc i musi się zatrzymać, bo z kołniérzem od kamienia zbielonym dalej iść nie może, i w końcu musi za wyczyszczenie sukni zapłacić.

Każdy handel hurtowy, każdy właściciel fabryki, wielu właścicieli winnic we Francyi, mają w Paryżu swoich *commis* czyli ajentów, którzy starają się o odbyt ich towaru, i za to są albo płatni, albo mają oznaczony procent w sprzedaży; ale w każdym razie muszą składać kaucyję pieniężną swemu pryncypałowi.

Najważniéjszym środkiem handlowym są niewątpliwie doniesienia przez pisma publiczne. Wszystkie inne sposoby sprzedaży, lubo skuteczne, ograniczają się na ulicach w samej stolicy, gdy tymczasem przez doniesienia w pismach publicznych, cała Francyja, cała Europa, cały świat dowiaduje się, czyto o nowych przedsiębierstwach, czyto o rozmaitych przedmiotach handlu paryzkiego. Przeważną w tym względzie korzyść winni Francuzi nadzwyczajnemu rozszérzeniu swego języka. Nié ma w istocie większego w świecie cywilizowanym miasta, gdzieby ich dzienniki nie dochodziły. Wiedzą oni o tém i przywiązują do doniesień w dziennikach wielką wagę. Można z pewnością powiedzieć, że publiczność handlowa w Paryżu, wydaje milijony corocznie na same doniesienia w pismach. Z tych jedne wyłącznie poświęcone są doniesieniom, jak np: *Journal des Affiches*, codziennie przynajmniéj we dwóch arkuszach; *Afficher parissiennes*, *l'Indicateur*, *l'Annonciateur*, *Le grand livre*, *Journal de la librairie*, *Tam-tam*, *le Gratis*, dziennik rozsyłany bezpłatnie wszystkim czytelniom, omnibusom i fiakrom, i inne. Polityczne dzienniki codzienne, i literackie tygodniowo lub miesięcznie wychodzące, przyjmują także rozmaite doniesienia. Im więcéj egzemplarzy pismo jakie rozsyła, tym więcéj zwykle ma doniesień. Ażeby sobie wyobrazić, jak wielki ztąd dochód mają dzienniki polityczne, trzeba wiedzieć, że stronicę, na któréj doniesienia umieszczają, dzielą na pięć przedziałek i za każdy wiersz drobnym drukiem w téj przedziałce każą sobie płacić po półtora franka, a niektóre po 2 franki, a że w każdéj przedziałce na stronicy jest zwykle 150 do 200 wiérszy i niektóre dzienniki prawie codziennie całą stronicę, a czasem więcéj zapełniają, przeto dochód ich codzienny z samych doniesień przenosi niekiedy 200 franków. Doniesienia wielkiemi głoskami lub zostawiające wiele próżnego miejsca, tak się liczą, jak gdyby przestrzeń ich napełniona była małym drukiem. Bez doniesień wiele dzienników musiałoby upaść, i wzajemnie, bez dzienników, rozchodzących się po całym świecie, liczne przedsiębierstwa handlowe, nie mogłyby być nawet rozpoczynane.

Zakończę ten artykuł wzmianką o *grzeczności* kupców paryzkich, bo i grzeczność jest u nich środkiem wabiącym kupujących. Nie przyjdziesz do sklepu, nie wyjdziesz z niego, żeby ci nie powiedziano: *Bon jour; je vous mercie;* kilka *s'il vous plait; c'est tout, ce qu'il vous faut*, żeby ci się nie przymilano, żeby ci nie nadskakiwano. Szczególniéj kobiéty władają tym środkiem bardzo zręcznie; trudno jest targować się z niemi, niepodobna prawie wyjść ze sklepu, nic od nich nie kupiwszy, tak natręctwo ich jest grzeczne i przymilające.

O Karolu Lipińskim.

Wyimek z listu z Paryża d. 23. lutego: P. Lipiński daje koncert w tę sobotę d. 27. lutego; gdzie tylko dotąd po prywatnych salonach grywał, wszędzie gra jego wzbudziła wielkie podziwienie, i wielu mu między znawcami zjednała wielbicieli. Zaczynają już mówić o nim po dziennikach z wielkiemi pochwałami, i pewny jestem, że będzie przyjętym jak najlepiéj od publiczności, chociaż Paryż bardzo jest trudny do pobudzenia, i zawiść rozmaitych stronnictw zwykle artystom nie małe stawia trudności do pokonania, ale ogromny talent Lipińskiego potrafi wszystko przezwyciężyć. N.

Z Paryża d. 28. lutego. Koncert pana Lipińskiego miał być dany dnia 20., potém dnia 27. lutego, a teraz będzie dopiero dany 3go marca; jeźli nie zajdzie jaka przeszkoda. Przyczyną téj zwłoki są nieustanne próby opery *St. Barthelemy*, odbywane pod kierunkiem pana Habeneka, który tą samą orkiestrą przyrzekł towarzyszyć panu Lipińskiemu. Nim tę wiadomość będę mógł przesłać, tymczasem wzmiankuję tylko, że pan Lipiński grał na kilku prywatnych wieczorach, co dało powód *Monitorowi* do umieszczenia kilku słów o jego grze. Nazwano ją tam potężną *(puissant)*, talent jego bardzo znakomitym, wynurzono jednakże nadzieję, że zechce zaprowadzić w swojéj grze i metodzie pewne modyfikacyje, jakich może wymaga smak tutejszéj publiczności. Xaw. B.

Z Warszawy. Pan A. J. Szabrański, którego piękne utwory wierszem i prozą są ozdobą Noworocznika *Wianek*, wyszłego r. b., ma zamiar wydawać pismo: Panorama literatury krajowéj i zagranicznéj. Panorama, nie mając nic wspólnego z pismem peryjodycznem, poświęcone wyłącznie literaturze, t. j: poezyi i prozie pięknéj, zawierać będzie: 1) Rys historyi literatury każdego z osobna narodu w obrazach, wystawujących początek, zmiany i koleje, jakie przechodzić musiała. Obok tego artykuły wyjaśniające dzisiejszy stan literatury innych krajów, życie pisarzy znakomitszych, i cokolwiek ma związek z ich dziełami. Zgoła wszystko, co literaturę, tak obcą jak i krajową, historycznie wykazać jest w stanie. 2) Teoryję sztuki, estetykę w wykładzie, jak najbardziéj zbliżonym do pojęcia ogólnego. 3) Z poezyi i z prozy pięknéj oryginalne utwory, przekłady najznakomitszych dzieł. już całkowite, już częściowo, tak zawsze, aby dać wyobrażenie ogólne dzieła. 4) Z historyi, osobliwie krajowéj i całéj sławiańszczyzny, część tę, która najbardziéj jest potrzebną do poznania błędów, jakich się dopuszczają pisarze, tworzący kompozycyje na tle historycznem. Będzie to materyjał rysów i farb., pomagający poetom do ułożenia obrazów z historyi brangych. Razem wyjątki z różnych dziejów ważniejsze, ciekawsze, a przede wszystkiem te, co zasługują na pewną wartość pod względem estetycznym. 5) Kronikę literacką, najtreściwiéj donoszącą o nowo-wychodzących dziełach, tak w kraju, jak i za granicą. 6) Oprócz tego wszystkie artykuły nacechowane dowcipem, świeżością, wesołém uczuciem, humorystyczne. Zgoła każdy utwór, obejmujący użytek i przyjemność umysłową, znajdzie miejsce pomiędzy innémi w tém pismie. (G. P.)

List pana Pogodin, profesora historyi w uniwersytecie moskiewskim, z którego następujący wyimek sprawi zapewne przyjemność naszym czytelnikom: »W Pradze zastałem znakomitego Szafarzyka, którego historyja literatury sławiańskich dialektów słusznie się uważa za klasyczną. Przeniósł się tu na mieszkanie z Nowego-Sadu przed trzema laty i kończy teraz swoję historyją najdawniejszą Sławian, przedmiot kilkoletnich zatrudnień. Na tém dziele schodziło europejskiéj literaturze; pisarze niemieccy, pracujący nad wszystkiemi jakie są językami, żyjącemi i zmarłémi, hebrajskim i samskrytskim, chińskim i koptyckim, mają dotąd jakiś wstręt niepojęty od mowy sławiańskiéj, i tak piszą o tym ludzie do całego świata należącym, że czytając trzeba się za nich wstydzić. Nie mogą się przekonać, że historyja powszechna nie może się ostać bez sławiańskiéj, i że przezto wszystkie ich tego rodzaju dzieła względną tylko muszą miéć wartość. Dzieło Szafarzyka, z którém się niece poznałem, sprawi stanowczą w historyi reformę i posłuży za mocną podstawę do pojedynczych dziejów sławiańskich plemion. Zaczyna on od czasów najdawniejszych, Herodotowych, i kończy na dziesiątym wieku. Całe dzieło będzie się składało z dwóch wielkich tomów; piérwszy zawiérający część historyczno-jeograficzną wyjdzie w r. 1836; drugi o obyczajach, zwyczajach, ukształceniu, religii dawnych Sławian, w roku następnym. Spytałem go, coby trzymał o kronice Nestora. »Trzebaby ją« odpowiedział, »złotémi wydrukować literami, a u was dotąd nie drukują żadnémi.« Szafarzyk ma także prawie gotową zupełną historyją literatur sławiańskich. Dawne jego o tém dzieło tak się ma do nowego, jak rys mały do wielkiego obrazu. Większa część dialektów (języków) już jest wypracowana, lecz reszty nie chce się dotykać przed wydaniem historyi Sławian. Ma jeszcze gotowy do druku zbiór starodawnych pomników serbskiego języka i historyi od 11go do 14go wieku. Zapytywał mię o różnicach gramatyk białoruskiéj, małorossyjskiéj, o dialekcie archangielskim, nowogrodzkim, i ja, rumieniąc się, musiałem mu odpowiedzieć, że na ten przedmiot nie zwrócono jeszcze uwagi, i że język tylko książkowy rossyjski otrzymał nie dawno dobre gramatyki pp. Grecza, Wostokowa, Kałajdowicza. W roku 1830 Szafarzyk wydał: *Serbische Lesekörner*, u nas bardzo mało znane, lubo nas blizko obchodzące. Przykładami pomników serbskich z 9tego wieku do późniejszych czasów, badaniem organicznego rozwijania się języka podług najściślejszych, matematycznych praw filologii, dowodzi w tém dziele, że język serbski za czasów Cyrylla i Metodiusza szedł już swoją drogą i miał wszystkie istotne cechy samobytności i też same różnica od cerkiewno-sławiańskiego języka, któremi się i dotąd odznacza. Szafarzyk niewątpliwie naczelne trzyma miejsce między sławiańskiemi filologami. Uczeń Dobrowskiego, pomknął się znacznie daléj, niż jego nauczyciel. Cóż, gdyby napisał ogólną, porównawczą gramatykę sławiańskich języków... Bardzo mi było przyjemnie słyszeć, z jaką pochwałą mówił o filologicznych pracach pa. Wostokowa. Pan Jungman przyczynił się najwięcej do wskrzeszenia narodowéj czeskiéj literatury. Zaczął teraz drukować swój ogromny słownik czeski, dzieło trzydziesto-letniéj pracy. Tom piérwszy wyszedł nie dawno; wszystkich będzie pięć. (Rzecz godna uwagi, że Dobrowski wszystkie usiłowania czeskich pisarzy ku rozszérzeniu swego języka uważał za niestosowne; Dobrowski pracował nad językiem czeskim jak nad umarłym, i przed śmiercią tylko przyznał się, że już teraz zaginąć nie może.)« (Dokończenie nastąpi.)

Z postrzeżeń pa. Roussingoult, czytanych na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu d. 1. lutego, pokazują się następujące wypadki: 1) Że w krajach, leżących pod równikiem, najwięcej deszczu pada w nocy, a w Europie we dnie. 2) Że ilość deszczu wzięta w jednym roku, im bliżéj równika, tém jest większa, a tém samém w równym stosunku do gorąca powiększa się. 3) Że z téjże samej zasady ilość deszczu w tym samym pomniéjsza się stosunku, im większa jest wysokość nad powierzchnią morza.

Jenerał Drouot darował do muzeum swego rodzinnego miasta Nancy szablę turecką, którą w dowód przyjaźni otrzymał był od cesarza Napoleona, w chwili, gdy

ten składał koronę. Jenerał do tego daru dołączył list do przełożonych zakładu, w którym on, pozbawiony teraz światła oczu, poleca ich sercu zachowanie tego oręża, przywiezionego przez Napoleona z Egiptu.

Napoleon kochał Józefinę, jakto można wyczytać z listow do niej pisanych w duchu prawdziwie romantycznym. W jednym z nich tak mówi: »Jestem bardzo niespokojny o ciebie. We wsi Wirgilego byłem nad brzegiem jeziora przy świetle księżyca, i ciągle myślałem o Józefinie.« W innym z tych uwagi godnych listów tak mówi do swojej małżonki: »Tysiąc całusów tak gorących jak moje serce, tak czystych jak ty! Posłałem po kuryjera, a on mi powiedział, że cię widział, a ty, nie miałażeś żadnego zlecenia do mnie. O fe, ty brzydka, okrótna, tyrańska, ładna, miła poczwarko; ty się śmiejesz z moich groźb, mojej niedorzeczności, ach! a wiesz, że gdybym cię mógł zamknąć w mojém sercu, na zawsze byś tam więźniem zostać musiała.«

Marchand, kamerdyner Napoleona, wydał uwagi nad wojnami Cezara, które mu Napoleon dyktował na wyspie Śtéj Heleny, a które dotąd zostawały w ręku jenerała Bertrand. Są one w tym napisane sposobie, jak uwagi nad wojnami Turena i Fryderyka II., znajdujące się w pamiętnikach, wydanych przez Montholona. Za autentyczność dzieła można ręczyć.

Malarz Pingret w Paryżu zrobił portret dwoch siamskich bliźniąt. Obraz ten posłany zostanie do muzeum, jako przeznaczony na tegoroczną wystawę. — Liczba malowideł przysłana do wydziału egzaminacyjnego na wystawę tegoroczną, wynosi już 3,700 sztuk.

Baletniczki panny Elsler z Paryża zostały wezwane do Petersburga na trzy miesiące na lato; ugodzono je za 1,000 dukat. na miesiąc, nie licząc kosztów podróży.

Przed parą tygodniami pewien 84letni starzec, który z wieloma znakomitémi osobami z czasów rewolucyi, a mianowicie z sławnym Mirabeau w ścisłych stosunkach zostawał, znajdował się w kawiarni *Valois* w Paryżu, i otaczającym go okazywał wielkiéj rzadkości autografy; byłoto 10 biletów, każdy na 1,000 franków, które Mirabeau wydał na rzecz tego starca, ale mu nigdy wypłaconémi nie były. Pewien miłośnik rzadkich pamiątek nabył od niego wszystkie te bilety za 100 fr. i zaraz dwa z tychże ustąpił pewnemu bogatemu kupcowi z Hamburga za 3,800 fr. We Francyi umieją ze wszystkiego korzystać.

Nie dawno umarł w Paryżu liwerant wojskowych koni, pan Seguin, i zostawił kilko-milijonowy majątek. Namiętnie lubił konie. Z wielu pięknych pałaców swoich porobił stajnie; w kosztownie przybranych salonach brykały rumaki, a najpiękniejsze z kwiatów i drzew rzadkich ogrody jedynie dla ich rozrywki zakładał. Córkę swoję wydał za wcale nieznanego mu przedtém Anglika, na dobicie targu o bardzo pięknego ogiera.

P. Boufflers był wielkim nieprzyjacielem spoczynku, nigdy też na jedném miejscu nie zostawał. Ta chęć podróżowania pędziła go po wszystkich częściach świata. Książę Nassau, spotkawszy go pewnego dnia na gościńcu, pozdrowił go i dodał: »Cieszy mię to nieskończenie, że choć raz zastałem wcpana w domu.«

Pewna panienka chcąca gwałtem w towarzystwie dobrego salonowego tonu popisać się z swoją francuszczyzną, w któréj nie zbyt była biegłą, odezwała się w ciągu rozmowy: *Lorsque j'etais encore dans l'infanterie;* t. j: chciała powiedzieć: »Jeszcze w dzieciństwie mojém,« a powiedziała: »Kiedym służyła w piechocie.«

Wkrótce przyjdzie do tego, że linija statków parowych ustanowioną zostanie między Lizboną a Hawrem. Statki przewozowe, mające być większe od dotychczasowych, robionych we Francyi, będą brać 600 beczek ładunku, i poruszać się siłą 160 koni. Drogę między Hawrem a Lizboną odbywać będą w 80 lub 100 godzinach, tak dalece, że za pomocą tych i hamburskich statków z Petersburga do Lizbony zapłynąć można w dniach dziesięciu.

Od dawnego czasu żadno z nowych odkryć nie wzbudziło tyle podziwu, i tak powszechnego zainteresowania, jak mikroskop, oświecony wodorodnym i kwasorodnym gazem, wynaleziony przez optyka Charry w Londynie, który na publiczny widok od dawna jest wystawiony. Jeszcze teraz, jak i za piérwszem okazaniem się tego cudownego narzędzia, powiększającego przedmioty 3milijony razy, i odbijającego takowe na białej ścianie; mnóstwo zbiega się osób, ażeby podziwiać ten mikroskop, przewyższający wszystkie dotąd oświécane światłem słonecznem. Światło użyte do tego mikroskopu i sprawujące ten główny skutek, powstaje z kwasorodu, i wodorodu działającego na wapno, i tak mocny blask wydaje, że słusznie wielu badaczów przyrody nazwało je: sztucznem słońcem. Wynalazcą tego mocnego światła jest chemik Drumond, który go używał od lat wielu do oświecania latarni morskich, albowiem o 25 mil niemieckich widzieć je można. Profesor Döbler, przybywszy nie dawno do Hamburga, przywiózł z sobą ten gazowy mikroskop, i pokazywać go będzie.

Jak niezmierną jest potęga machin w Anglii można łatwo powziąć wyobrażenie z wykazu, jakiego udzieliły świeżo niektóre pisma czasowe angielskie, w których z wyrachowania pokazuje się, iż za pomocą machin taka tam uskutecznia się praca, do jakiéjby potrzeba było 400 miljonów ludzi.

Bednarze w Filadelfii przesłali nie dawno Jaksonowi, prezesowi Zjednoczonych Stanów, w darze drewnianą konewkę, zrobioną z 750 prętów topoli, pod którą niegdyś William Penn zawierał z krajowcami układ zasiedlenia.

Żaden rys w charakterze Tamerlana, sławnego pogromcy Wschodu, nie znamienuje go tyle, jak nadzwyczajna jego wytrwałość. Żadne trudy nie zdołały go odwieść od raz powziętego zamiaru, a częstokroć wytrwał w przedsięwzięciu pośród tak groźnych okoliczności, że i najdzikszy hordy jego towarzysz byłby o skutku rozpaczał. Wtedyto zwykł był opowiadać przyjaciołom swoim zdarzenie z młodych lat swoich, mało znaczące przez się, a jednak ważne w skutkach, jakie na nim wywarło wrażenie owéj przygody. »Uchodząc przed wrogiem musiałem raz szukać schronienia w rozwalinach starego zamczyska. Siedziałem samotny na omszonym głazie, i aby umysł z przykrego wywieść dumania, przypatrywałem się długo mrówce, co z ziarnkiem dwakroć większém niż sama, po stromym kamieniu wyleźć usiłowała. Liczyłem pilnie, ilekroć poczynała uciążliwą pracę; 69 razy upadło ziarnko na ziemię; sześćdziesiąt i dziewięć razy podejmowała je mrówka na nowo, i za siedmdziesiątém ujęciem dopięła żądanego celu! Ten widok dodał mi męztwa, i nigdy nie zapomniałem téj ważnej nauki!«

Anegdota o Potemkinie. Pewnego dnia była mowa u niego przy obiedzie o wzroście jednego z adjutantów, lecz Potemkin utrzymywał, iż inny oficer, którego nazwisko wymienił, daleko jest słuszniejszego wzrostu. Powstała sprzeczka; ci, którzy znali tego oficera nie zgadzali się na to, książę, chcąc się przy swojém utrzymać, natychmiast wyprawił gońca, aby przywiózł wspomnionego oficera, który o 800 mil stał z pułkiem w Syberyi. Ten, dowiedziawszy się o tém wezwaniu, niezmiernie się ucieszył, sądząc, że go wysoki stopień czeka, lecz jakże musiał się zdumieć, kiedy przybywszy do obozu, Potemkin kazał go zmierzyć ze swoim adjutantem, i zaraz nazad z niczém odprawił.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.